
1939

Wileńszczyzna

Zaopatrzenie

Pamiętam tamto lato najlepiej ze wszystkich w moim życiu. Lepiej nawet niż zeszłoroczne, które nic mnie nie obchodzi. Pamiętam moją granatową letnią sukienkę. Dostałam ją od matki, wtedy, w trzydziestym siódmym, kiedy wróciła z Paryża i opowiadała o salonie „jakiegoś” Cristobala Balenciagi. Wiele lat później, podczas szorowania podłogi w niemieckim biurówcu, zobaczyłam przez okno szyld domu mody. Był to właśnie Balenciaga. W głowie mi się nie mieściło, że dawniej sama nosiłam zaprojektowaną przez niego sukienkę. Jak gdybym to sobie wymyśliła, a nie przeżyła naprawdę. I muszę przyznać, że choć byłam panną z ziemiańskiego dworu, poza granatową sukienką od Balenciagi nie posiadałam zbyt wielu eleganckich – czy też zwyczajnie „ładnych” – strojów. Nie zgrywałam modnisi, stawiałam raczej na wygodę i skromność. Zresztą – gdzie miałam się stroić? W mojej zaimprovizowanej szkółce? W której zmywałam farbę z podłogi w towarzystwie ślusarza? Nie, nie byłam taka. Kiedy żyła jeszcze matka, obserwowanie jej – zawsze ubranej z wielką klasą – budziło we mnie naturalną potrzebę elegancji. Ale to odeszło wraz z nią. Może rzeczywiście lepiej bym się

odnalazła w roli córki proletariuszy niż wileńskiego szlachcica i berlińskiej burżujki? Chyba tak właśnie wtedy myślałam.

Tadeusz Winiewicz, który ni stąd, ni zowąd zjawił się w Rubiszkach, z początku tylko mnie bawił. Wszędzie chodził z chusteczką. Przecierał nią ławkę w ogrodzie, zanim usiadł, bo nie chciał pobrudzić sobie spodni. Pewnego razu złapałam się na tym, że przyglądam się jego twarzy w poszukiwaniu śladów makijażu... Miał podejrzenie ciemne brwi i czarne jak węgiel rzęsy. Niewielu ludzi się z takimi rodzi, doprawdy. W tym wypadku akurat nie miałam racji i okazało się, że dla Tadka natura była po prostu łaskawa. Ale za to paznokcie z pewnością smarował jakąś nablyszczającą emulsją... I w ogóle swoje dłonie otaczał niemal nabożną czcią. Na własne oczy widziałam, jak któregoś razu jego matka targała z sadu ciężki koszyk z jabłkami, a on siedł spokojnie obok, śmiał się i obracał w palcach długie źdźbło trawy. Oczywiście delikatnie i ostrożnie, by ostrą krawędzią nie przeciąć sobie skóry. Nie zaoferował matce pomocy. Nie został zresztą o nią poproszony. Wszyscy okropnie się z Tadkiem cackali. Ach tak, warto wspomnieć, że często nosił rękawiczki, białe, z miękkiego i lekkiego materiału. Znakomicie je pamiętałam.

Zakochałam się w nim dopiero wtedy, kiedy zagrał na fortepianie. Była niedziela, koniec lipca. Rodzice Tadka zaprosili mnie na kolację, choć nie robili tego od wielu miesięcy. Z pewnością on ich namówił. Wcześniej odwiedził mnie kilkakrotnie, choć po tamtym pierwszym, dość niefortunnym spotkaniu, nie spodziewałam się, że to będzie bliższa znajomość. Chyba byłam dla niego trochę egzotyczna, inna od kobiet, z którymi miał styczność

w wielkich miastach. Nie do końca wiedział, jak ze mną postępować, jak mnie... uwodzić. Podejrzywałam, że właśnie do tego zmierzał. Nie miałam tylko pojęcia po co. Zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Nie potrafiłam przyjmować komplementów, nie śmiałam się z jego żartów – choć, na przykład, śmiały się z nich wszystkie „moje” krawcowe. Nie wiedziałam nic o świecie, z którego przybył. Dziewczęta nieco mnie w tej kwestii oświeciły. Przyniosły jakieś wycinki z gazet i zdjęcia. W taki właśnie sposób dowiedziałam się, że Tadeusz opuścił stolicę w aurze skandalu, że uwiódł żonę jakiegoś profesora i mecenasa sztuki, a później ten profesor popełnił samobójstwo. Zastrzelił się podczas koncertu. Wiarołomna żona gdzieś przepadła, Tadek zaś został wykluczony z warszawskiej socjety. Podejrzywałam, że to nie była pierwsza mężatka, która wpadła mu w oko, a jednak wcześniej zdołał w jakiś sposób unikać skandali. Tym razem sytuacja zdawała się szczególna. Postępowanie przystojnego pianisty sprawiło, że ktoś rozstał się z życiem. Być może nawet dwie osoby. Nikt przecież nie wiedział, co stało się z tamtą kobietą.

Muszę przyznać, że byłam nieco zaskoczona tymi nowinami. Zastanawiałam się, jak on, taki... zniewieściały i delikatniutki, mógł robić aż tak wielkie wrażenie na kobietach. Inaczej wyobrażałam sobie swojego księcia z bajki. A raczej powinnam chyba powiedzieć, że w ogóle nie chciałam księcia i to był mój problem. Młodzi mężczyźni, których znałam, reprezentanci lokalnego ziemiaństwa, wydawali mi się żałośni. Wszyscy jacyś rozdygotani, patetyczni, skupieni na sobie, na swoich studiach, karierze, planowaniu przyszłości. Tadeusz z jednej strony był do nich podobny, a z drugiej, paradoksalnie, różnił się zupełnie. On również chciał oślnić otoczenie swoją osobą, ale

odznaczał się też tą pewnością siebie, charakterystyczną dla ludzi, którym coś się w życiu udało. Temat „dorabiania się” miał w głębokim poważaniu, studia już skończył i wiedział, jak smakują sukces i sława. Znał wielki świat. Czym kresowa szlachta mogła mu zaimponować? Właśnie ta nonszalancja i pewność siebie zwróciły najpierw moją uwagę. Owszem, Tadek był zniewieściałą i jakiś taki zbyt piękny, ale znał swoją wartość. Złapałam się na tym, że zastanawiam się, co on czuje – czy rozpamiętuje przeszłość? Romans z tamtą mężatką i inne miłosne podboje? Czy tęskni za salami koncertowymi, gromkimi brawami i prośbami o bis? Czy brakuje mu wielkiego miasta, terkotu tramwajów, eleganckich kawiarni i modnych sklepów? Czy się nudzi na Wileńszczyźnie? I – o dziwo – chyba byłam zazdrosna o jego przeszłość. Nie znałam siebie takiej. Byłam zaskoczona tym, co czułam.

Oczywiście nie traktowałam swojej „słabostki” do Tadeka poważnie – aż do tamtego momentu przy fortepianie, w domu jego rodziców. Po kolacji zaproponował, że coś zagra, i poprosił, bym usiadła obok niego. Nie popisywał się. To, co wypływało spod jego palców, wydawało się do bólu prawdziwe. On był prawdziwy – cały był muzyką. Musiał przecież ćwiczyć godzinami, by osiągnąć ten poziom, a jednak grał lekko i ze swobodą. Wkładał w to całe swoje serce. Wiedziałam, że się nie mylę, choć o muzyce nie miałam większego pojęcia. A może chodziło o konkretny utwór? Tamtego wieczoru Tadek zagrał *Sonatę C-dur* Mozarta, którą uwielbiała moja matka. Ona sama również często ją wykonywała, ale zawsze później tłumaczyła, że „to już nie jest to”. Kiedyś była sprawniejsza i grała lepiej, a do *Sonaty C-dur* trzeba mieć zdrowie i siłę, trzymać tempo, ćwiczyć palce, z wprawą i bez jęku

krzywić plecy nad klawiaturą. Tadek tymczasem muskał klawisze tak delikatnie, jak gdyby w ogóle ich nie dotykał. Po raz pierwszy w życiu podziwiałam wtedy te zadbane dłonie. Patrzyłam na nie jak urzeczona. Chłonełam każdy dźwięk. Odkryłam, że jednak mam jakąś wrażliwość i sztuka może mną wstrząsnąć. Dowiedziałam się o sobie czegoś nowego. Byłam rozbita i rozedrgana, serce biło mi jak szalone, a z oczu popłynęły łzy. Nie płakałam, odkąd umarła matka. Coś we mnie pękło. W moim umyśle zapanaował chaos. Tadek mnie zmienił.

Kiedy skończył grać, ujął moją dłoń, którą nagle uznałam za szorstką i brzydką. Widział, że płakałam, że nie byłam sobą. A może właśnie byłam? Nie miałam pojęcia, co się wydarzyło. Cała się trzęsłam. Zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, a ja od razu się zgodziłam. Poruszałam się jak w transie. Przez całą drogę nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Szliśmy w milczeniu, ramię w ramię, ręka w rękę. Nad nami błyszczały gwiazdy, całe morze gwiazd, jak zawsze w lecie. Noc była ciepła. Nigdy później nie widziałam już takiego nieba. Albo też – nigdy później nie patrzyłam już w gwiazdy.

Dotarliśmy wreszcie do Rubiszek, a ja myślałam tylko o tym, jak go przy sobie zatrzymać. I nagle powiedziałam to wprost, wszystkie myśli i emocje zamknęłam w jednym słowie: „wejdz”. Został ze mną do rana. Po raz pierwszy byłam wtedy z mężczyzną.

* * *

Nie robiliśmy tajemnicy z naszej relacji. On byłby prawdziwym hipokrytą, gdyby nagle próbował wmówić komukolwiek, że obchodzi go zachowywanie pozorów. Ja uważałam

się za nowoczesną kobietę, sufrażystkę, socjalistkę, komunistkę... sama nie wiedziałam za kogo jeszcze. Wciąż zastanawiałam się nad odpowiednią nazwą. W każdym razie „reputacja” i „konwenanse” to były dla mnie przestarzałe słowa, związane ze światem, który musiał odejść. Kto by się przejmował podobnymi bzdurami, kiedy wokół działy się takie rzeczy? Wszyscy mówili, że wybuchnie wojna. Trochę się bałam, ale chyba do końca w to nie wierzyłam. Widziałam potrzebę zmian, chciałam, by wydarzyło się coś, co zachwiałoby społecznym porządkiem i dało ludziom do myślenia, ale... wojna? Nie, wojna nie była dobrym rozwiązaniem. Cywilizowani ludzie nie prowadzą wojen, tylko rozmawiają, negocjują i opracowują reformy. Może i byłam komunistką, ale z pewnością nie uważałam się za rewolucjonistkę. Bardzo przemawiały do mnie dziewiętnastowieczne ideały pracy u podstaw i tego zamierzałam się trzymać. Wojna? W dwudziestym wieku? Już jedna wojna była. Czy ktoś naprawdę czuł niedosyt? Nie... Nie wierzyłam, że do tego dojdzie. Byłam głucha i ślepa.

Pierwszego września „mój” ślusarz, z którym kiedyś myślałam podłogę, przyniósł gazetę. Przebiegłam wzrokiem nagłówki i poczułam bolesny skurcz w żołądku. Musiałam... kupić sobie własną gazetę. O tym wtedy pomyślałam, jak skończona idiotka. Wybiegłam z domu, wsiadłam na rower i pojechałam do miasta. Tego dnia chciałam się trochę pouczyć stolarki, to była moja najnowsza fascynacja. Byłam już gotowa do pracy, ubrana w spodnie i koszulę, jak chłopak. Na głowie miałam chustkę. Nawet się nie przebrałam. Pedałowałam tak szybko, że straciłam dech w piersiach.

Wilno wydało mi się zwykłe. Wszystko było na swoim miejscu. Tylko ludzie na ulicach rozmawiali z większym

ożywieniem, a kiedy się ich mijano, często dało się słyszeć słowa: „Niemcy”, „Ruscy”, „Hitler”, „bomby”, „nalo”, „agresja” i oczywiście – „wojna”. Szumiało mi od tego w uszach. Zeskoczyłam z roweru i pobięłam po tę gazetę... Kioskarz miał jeszcze tylko cztery egzemplarze. Zauważyłam, że był blady i zmęczony. Jakiś klient powiedział do niego: „Tutaj szybko nie przyjdą, pan się tak nie martwi, my od Niemców daleko”. Chciałam jakoś na to zareagować, powiedzieć temu mężczyźnie bez ogródek, że jest głupi albo co, ale nie zdążyłam. Kioskarz zaczął się nagle tłumaczyć. Mówił, że jego syn służy w Wileńskiej Brygadzie Kawalerii, która już w ostatnich dniach sierpnia, wraz z Pierwszym i Dziewiętnastym Pułkiem Dywizji Piechoty, wymaszerowała do wyznaczonych miejsc koncentracji. W Wilnie pozostały tylko oddziały należące do ośrodków zapasowych i gdyby coś...

Gdyby coś! Z gazetą w dłoni wybiegłam z kiosku. Może i rzeczywiście byliśmy od Niemców daleko. Może i rzeczywiście powinniśmy współczuć zachodowi kraju, Warszawie. Ale przecież coś jednak się działo. A ja miałam bardzo złe przeczucia. I nie tylko ja. Szybko to zrozumiałam. W kilku punktach Wilna zainstalowano megafony, przy których gromadzili się ludzie, by słuchać komunikatów o sytuacji na froncie. Ktoś głośno się modlił. A właściwie modliło się coraz więcej osób. Ludzie szli w kierunku Ostrej Bramy. Ale nie ja.

Wsiadłam z powrotem na rower i ile sił w nogach popędziłam do dworu rodziców Tadeusza. Winiewiczowie powiedzieli mi, że on z kolei osiodłał konia i wybrał się do Rubiszek. Nie dałam sobie chwili na odpoczynek i wyruszyłam natychmiast. Tadek siedział na schodkach przed domem. Kiedy mnie zobaczył, poderwał się i popędził

w moją stronę. Zeskoczyłam z roweru i rzuciłam go na ziemię. Sama również prawie się przewróciłam, tak mi było słabo ze zmęczenia. Tadek objął mnie w tali i podtrzymał. „Wiedziałem, że tak będzie – powiedział. – Koledzy z Warszawy pisali, że wojna to kwestia czasu”. Coś tam jeszcze szeptał mi do ucha. Powtórzył historię o swoim przyjacielu ze stolicy, który wstąpił do wojska, ale rozchorował się i udał na leczenie do Szwajcarii. Tym samym, od którego dostał w prezencie piękną srebrną piersiówkę, wykonaną na zamówienie przez słynnego warszawskiego mistrza. Tak, rzeczywiście mówił już o nim, nawet wielokrotnie. I znałam tę piersiówkę. Tadek się z nią nie rozstawał. Była jak amulet chroniący przed złym urokiem, jak święty symbol, który trzymał na piersi zamiast krzyża. Bardzo ją cenił, nosił przy sobie nieustannie, choć przecież nie lubił alkoholu. Tak, tak... wiedziałam o tym wszystkim bardzo dobrze. Ale dlaczego mówił o piersiówce akurat w tamtej chwili? Teraz oczywiście to wiem, ale wtedy myślałam, że naprawdę chodziło o jego przyjaciela, który cierpiał, bo nie mógł wziąć udziału w walkach, tylko leżał w szwajcarskim sanatorium. Tadek plątał się w swojej opowieści, wciąż słyszałam: „kolega”, „piersiówka”, „prezent”, „wojna”, „Szwajcaria”, „Warszawa”. I przez moment odniosłam wrażenie, że... on boi się bardziej niż ja. Spojrzałam mu w oczy. „Wyjdź za mnie” – poprosił nagle i umilkł. „Słucham?” – zapytałam w osłupieniu. „Kiedy?” A on na to: „Teraz. Znam księdza”. Znał księdza! Miałam wrażenie, że zupełnie oszalał. Ale nie. Mówił poważnie. Spojrzałam na swoje spodnie i koszulę. Nie, tak nie mogłam iść do ślubu, nawet przy całym swoim nowoczesnym podejściu do życia. Poprosiłam, by dał mi dwadzieścia minut. Tyle wystarczyło.

Włożyłam wtedy swoją jedyną ładną sukienkę. Tę granatową, od „jakiegoś” Balenciagi.

Posłużyła mi za suknię ślubną.

* * *

Tadek wprowadził się do Rubiszek. Miał oczywiście własną wizję naszego małżeństwa, która nieco różniła się od mojej. Jakkolwiek to brzmi, z pomocą przyszła mi... sytuacja polityczna. Bo przecież wybuchła wojna, nic nie funkcjonowało normalnie, a zatem mój mąż nie mógł oczekiwać tego, że będziemy sobie pięknie żyć, jadać wspólne śniadania i kolacje, spacerować, siadywać wieczorami przy fortepianie i dyskutować o literaturze. Ani tego, że będziemy prowadzić dom otwarty i regularnie urządzać przyjęcia. Ani nawet tego, że będziemy podróżować. Nikt wtedy tak po prostu nie podróżował. Miejsce zamieszkania opuszczało się przeważnie z konieczności – albo robiło się niebezpiecznie, albo jechało się kogoś szukać, albo uciekało, albo zostawało wyrzuconym... Ale w pierwszych dniach naszego pożycia małżeńskiego nie miałam jeszcze o tym większego pojęcia.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że naprawdę doszło do walk, że Niemcy zaatakowali Polskę. Ci Niemcy, między którymi urodziła się moja matka! Taki cywilizowany kraj, zadbany, posprzątaný, wysoko rozwinięty. Nie rozumiałam, dlaczego to zrobili. Przypomniała mi się Heidi i jej pobladła twarz, kiedy mówiła o swojej ojczyźnie i o swoim bracie. Przypomniał sam brat, mój wuj Heinrich Hübner, którego nie widziałam od lat i z którym nigdy nie byłam blisko. Co innego dziadek... On również tam był, wśród Niemców, którzy nasłali na nas wojsko... Milczał.

Kilka dni po wybuchu wojny zapagnęłam się dowiedzieć, co się z nim stało. Wysłałam telegram. Kiedy wychodziłam z budynku poczty, podbiegł do mnie jakiś młody chłopak. Trzymał coś. Dopiero gdy znalazł się przy mnie, rozpoznałam doniczkę. Chłopak zamachnął się i sychnął mi w twarz ziemią. „Niemra”! – wrzasnął i uciekł. Kilku przechodniów obejrzało się za nim, później zerknęło na mnie... A ja wciąż stałam tam, tak po prostu, zupełnie zaskoczona, oniemiała. Z brudną twarzą i załzawionymi oczami. Wreszcie ktoś złapał mnie za ramiona i pociągnął. To był listonosz, którego dobrze znałam. Zaprowadził mnie z powrotem do budynku poczty i wskazał miejsce, gdzie mogłam się umyć i doprowadzić do porządku. Telegrafista spojrział na mnie ze współczuciem. Nie miałam pojęcia, co się właściwie stało i dlaczego. Nie czułam się „Niemrą”. Właściwie nikim się nie czułam, jeśli szło o narodowość. Nigdy nie udawałam patriotki. Wierzyłam, jak ostatnia idiotka, że kiedy już dokonają się społeczne reformy i ludzie staną się równi, to podział państwowo-narodowościowy przestanie być na świecie konieczny. Bo wszyscy zaczną wyznawać te same ideały, otaczać kultem pracę i sprawiedliwy podział obowiązków, a poszczególne jednostki nie zechcą więcej wybijać się ponad ogół. Po co komu wojny w takim idealnym świecie?

Byłam naiwna? Oczywiście! Miałam osiemnaście lat! Mogłam myśleć o sobie, że jestem dorosła, i zachowywać się jak na osobę dorosłą przystało, ale przecież tak naprawdę, w głębi duszy, byłam jeszcze dzieckiem. Nic nie rozumiałam. Nic a nic.

Incydent z nazwaniem mnie „Niemrą” więcej się nie powtórzył. Co nie znaczy, że było idealnie. Niektórzy sąsiedzi zdystansowali się ode mnie jeszcze bardziej niż

dotychczas. Pewnie nie do końca wiedzieli, co myślę i po czyjej jestem stronie. Choć przecież wszyscy w okolicy znali moje poglądy. I znali moją matkę, której w żadnym razie nie można było nazwać nazistką. Ale w tamtym momencie nie każdy zajmował się niuansami i zadawaniem szczegółowych pytań. Sama narodowość wystarczała, żeby wyrobić sobie o człowieku opinię. A ja... w połowie byłam jednak Niemką. Zostało mi to narzucone, jak piętno. Mimo wszystko nie przejmowałam się tym tak do końca, nie zwracałam za bardzo uwagi na chłód i brak zaufania bijące od niektórych sąsiadów. Jak już wcześniej wspomniałam, nie zależało mi na tych znajomościach. To Tadek bardziej cierpiał. Nie służyła mu izolacja. Widział też lepiej niż ja sama, w jak kłopotliwym położeniu się znalazłam. A przecież już niebawem sytuacja miała się stać jeszcze bardziej niebezpieczna – i wręcz kuriozalna.

Do połowy września wszyscy starali się jakoś żyć. Wilnianie nadal gromadzili się przy megafonach i z niepokojem przyjmowali kolejne komunikaty o sytuacji na froncie. Emocje budziły zwłaszcza wystąpienia Stefana Starzyńskiego, prezydenta Warszawy. Okupacja stolicy stała się wkrótce naszą najczarniejszą, ale bardzo prawdopodobną wizją. My byliśmy daleko od centrum, ale mnie wciąż dręczyły złe przeczucia. W nocy nie mogłam spać, a w dzień pracowałam jak szalona. Czułam, że coś trzeba zrobić, gromadzić zapasy, zabezpieczyć się. W drugim tygodniu września kupiłam mnóstwo produktów. Kasze, groch, fasolę, chleb, z którego zrobiłam suchary, i mąkę. Im mniej oczyszczona i bardziej razowa, tym była tańsza. Kupiłam jej dużo.

Wyczyściłam starą spizarkę, w której przechowywano żywność, zanim w domu pojawiła się chłodziarka, i jeszcze jedno pomieszczenie, znacznie starsze, gdzie gromadziło

się zapasy za czasów mojego pradziadka. Chłodziarka! Cóż to było wówczas za чудо! Dziadek Hübner kupił nam ją na początku lat trzydziestych. Na świecie panował kryzys gospodarczy, plajtowały wielkie firmy i instytucje kulturalne, w tym ulubiony warszawski teatr mojej matki – Qui Pro Quo – a my mieliśmy chłodziarkę! Dziadek powtarzał, że w Niemczech wszyscy w domach mieli już chłodziarki, i wysłał mi nawet w liście historię tego urzędnika... Była ciekawa, nie powiem. Wtedy, w trzydziestym dziewiątym, przestaliśmy jej jednak używać. Uważałam, że trzeba oszczędzać prąd. Poza tym był to wynalazek nowy i bez problemu radziłam sobie bez niego. Przygotowałam więc pomieszczenia, do których zaczęłam znosić różne produkty. Instynkt podpowiadał mi, by więcej zapasów umieścić w tamtej starszej spiżarni, nieużywanej od dawna. Drzwi, które do niej prowadziły, zawsze się zacięły i trzeba je było otwierać „sposobem”, chwycić za klamkę i lekko unieść, a potem naprzeć biodrem. Później uratowało mi to życie.

Rubiszki stały się wkrótce miejscem bardzo... ciekawym. Właściwie można powiedzieć, że razem z ludźmi, którzy przychodzili do mnie się uczyć, żyliśmy w prawdziwej komunie. Na Wileńszczyźnie nie toczyły się jeszcze działania wojenne, ale wieści z frontu nie napawały optymizmem i wszyscy woleliśmy po prostu być razem. Zaprzyjaźniłam się z nimi. Oni również szybko przestali traktować mnie jak „patronkę”. Zwłaszcza z krawcowymi pozostawałam w bardzo bliskiej relacji. Te dziewczyny były niezwykle, traktowały mnie prawie jak siostrę. Razem dojrzewaliśmy. I co ja im później zrobiłam? Zamordowałam je! Tak, zamordowałam... Zamordowałam dziewczyny, Tadka i... ją! Ale o tym... później.

We dworze wkrótce zamieszkaliśmy wszyscy razem. Pracowaliśmy ciężko po całych dniach, a wieczorami nikomu nie chciało się już wracać do domu. Rubiszki były zresztą za duże dla mnie i Tadka. Uznałam, że nie ma sensu marnować tyle wolnej przestrzeni, kiedy na świecie sytuacja staje się coraz bardziej niepewna, że szkoda czasu na samotność. Oczywiście bałam się o pieniądze. Że może ich zabraknąć. Po raz pierwszy w życiu naprawdę przejmowałam się swoimi finansami. Musiałam mniej płacić nauczycielom, ograniczyć liczbę kursantów, po prostu... coś wymyślić. Szybko się jednak okazało, że wcale nie było takiej potrzeby. Nowi mieszkańcy Rubiszek rozumieli sytuację. Przynosili do domu jedzenie i inne produkty, z których korzystaliśmy po równo. Pracowaliśmy na rzecz wspólnego dobra. Nawet wtedy, kiedy nie byłam już w stanie wypłacać nikomu pensji. Brzmi jak utopia? A jednak udało nam się to wszystko osiągnąć. Każdy z nas miał złe przeczucia, przy jednoczesnym braku pomysłu na inne życie, w innym miejscu i wśród innych ludzi. Nie wiedzieliśmy, co ze sobą zrobić, więc czekaliśmy. Oczywiście – nie bezczynnie. Każdy znalazł sobie jakieś zajęcie. Chyba faktycznie stworzyliśmy prawdziwą komunę. Taką, o jakiej pisali pierwsi socjaliści w swoich manifestach. Choć myślę, że nawet oni w głębi serca uważali własne pomysły za utopijne. Kiedy opracowywali teorię, niewiele uwagi poświęcali ewentualnej praktyce. Ale ja to zrobiłam. My zrobiliśmy.

I w tym wszystkim – w całej tej dziwnej, niecodziennej sytuacji – musiał się odnaleźć Tadeusz Winiewicz. Elegancki pan z Warszawy, intelektualista i wybitny muzyk. Mój mąż. Muszę przyznać, że się starał. Nauczył się nawet wycierać kurz... Wydawał się bardzo pocieszny,

kiedy usiłował zamiatać, bardzo też rozbawiło mnie jego zakłopotanie, kiedy poprosiłam, by ugotował kilka jajek na miękko. Wśród moich przyjaciółek krawcowych były cztery, które uwielbiały właśnie jajka na miękko. Chciałam sprawić im przyjemność przy niedzieli. Tadeuszowi głupio było odmówić, więc zabrał się do roboty i skończył z poparzonymi palcami. Zezłościł się na mnie. Przez kilka dni nie mógł ćwiczyć gry na fortepianie. Jednak poza tym incydentem pierwsze tygodnie naszego małżeństwa należy zaliczyć do udanych. Miałam nadzieję, a raczej – prawie pewność – że on czuł do mnie to samo, co ja czułam do niego. I że dlatego się oświadczył. Jaki inny mógł mieć powód? Różniliśmy się od siebie pod każdym względem. Byłam zupełnie innym człowiekiem niż Tadek, nawet jeśli pewnego wieczoru do głębi wstrząsnęła mną jego muzyka. Wcale mnie nie zmienił, jak mi się na początku zdawało. Z każdym dniem rozumiałam to coraz lepiej.

* * *

Siedemnastego września skończył się świat, który znaliśmy. Lęk przed przyszłością i przed wojną zamienił się w panikę. Około południa w Wilnie rozeszła się wieść, że Sowietci ugadali się z Hitlerem i „wbili nam nóż w plecy”. Znowu wsiadłam na rower, jak w dniu mojego ślubu, i pojechałam do miasta. Słyszałam Tadka, który wypadł za mną na ganek i darł się, żebym natychmiast wracała. Zaskoczyłam go. Nie uprzedziłam. Nie planowałam przecież tej wycieczki! Działałam spontanicznie. To wszystko zwyczajnie nie mieściło się w mojej młodej, wypełnionej ideałami głowie. „Jacy Sowietci?” – mamrotałam pod nosem. „Jak to napadli?”. Miałam ochotę krzyknąć. To był

ten ich piękny komunizm? Tak miał według nich wyglądać? Oczywiście już wcześniej wspomniałam, że co nieco dowiedziałam się o działaniach Józefa Stalina, więc nie idealizowałam za bardzo tego sowieckiego pseudoraju. A jednak to był kraj w rękach ludu, w przeciwieństwie do „pańskiej Polski”. Wciąż miałam nadzieję, że pójdą po rozum do głowy, przestaną zajmować się głupotami i zaczną na nowo – tym razem uczciwie – walczyć o prawa i przywileje dla klasy robotniczej. Tak wtedy myślałam, naprawdę. Teraz, kiedy to wspominam, dochodzę do wniosku, że nic nie rozumiałam. Byłam młoda i głupiutka. Ale o tym już mówiłam. Powtarzam się, choć nic mi już z tego nie przyjdzie. Nie utrwaliłam sobie pewnych prawd, by do końca życia o nich pamiętać. Wtedy powinnam to zrobić, kiedy jeszcze był czas.

Dojechałam do Wilna i z miejsca pobiegłam na pocztę. Właściwie nie wiem dlaczego. Nie zdążyłam się nawet nad tym zastanowić, bo drogę zastąpił mi listonosz. Na jego widok poczułam... nie wiem, co dokładnie, ale chyba wstyd. Wciąż pamiętałam tamtą sytuację z doniczką, ziemią i „Niemrą”. Było mi źle z tym, że widział mnie wtedy w takim stanie i że w ogóle stał się przypadkowym świadkiem całego zajścia. Ale zamiary młodego listonosza były bardzo konkretne i nie planował tracić czasu na rozpamiętywanie i dywagacje. „Dobrze, że pani jest. Proszę. Właśnie miałem jechać” – rzucił i dyskretnie podał mi list. Z Berlina. Wtedy zrozumiałam, skąd ta dyskrekcja... Rozejrzałam się nerwowo i schowałam list do kieszeni, po czym wypadłam z budynku, przebiegłam kilka przecznic i przystanęłam w jakiejś bramie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, wszystkich absorbował jeden temat – Sowici. Wilnianie powtarzali, że przecież jeszcze nie zakończyły

się działania wojenne. I wciąż wiele się dzieje nad Bzurą, między Wisłą a Bugiem, na odsiecz Lwowowi idą oddziały, że Warszawa ciągle się broni, Modlin, Brześć i Hel... Tadeusz Kutrzeba, Tadeusz Piskor, Kazimierz Sosnkowski – padały wciąż te same nazwiska i jeszcze jakieś inne, nie pamiętam czyje.

Uspokoiliłam oddech i wydobyłam z kieszeni list. Kiedy wspominałam tę chwilę, mam wrażenie, że nadal drżą mi ręce. Nadawcą listu był mój wuj Heinrich. Pisał, by przekazać wieść o śmierci swojego ojca, starego Hübnera, który przeszedł wylew i nie odzyskał już przytomności. Pomyślałam, że może to i lepiej dla dziadka. Przynajmniej nie musiał oglądać tego wszystkiego. Miał dobre życie, zbił fortunę, był szczęśliwy. A może serce mu pękło, kiedy obserwował poczynania swojego syna? Nigdy przecież nie podzielał jego poglądów. Czy tak właśnie było? Na to pytanie nie znalazłam odpowiedzi w liście. Dalej Heinrich pisał, że w każdej chwili mogę do niego przyjechać, bo przecież w moich żyłach płynie niemiecka krew i przebywanie w Polsce skazanej na klęskę nie ma najmniejszego sensu. Lepiej udać się do Berlina. Heinrich miał wpływy, był członkiem NSDAP, jadał kolacje w towarzystwie samego Führera. Proponował, że mógłby załatwić mi mieszkanie gdzieś na niemieckiej prowincji, z dala od wielkich miast zagrożonych bombardowaniami. Nie rozumiałam, dlaczego to robił. Przecież posiadanie polskiej siostrzenicy z pewnością nie było w jego kręgach dobrze widziane. Na krótką chwilę przypomniałam sobie fotografię, którą widziałam niegdyś w berlińskim salonie Hübnerów. Przedstawiała wysokiego, chudziutkiego chłopca, z dumą trzymającego za uzdę kucyka. Na grzbiecie zwierzęcia siedziała blond dziewczynka z wielkimi

kokardami. Heinrich kochał swoją siostrę Heidi, nawet jeśli ona zupełnie go nie rozumiała... Pewnie dlatego chciał mnie ratować ze „skazanej na klęskę Polski”. Poczułam się oszukana. Miałam wuja nazistę, mój ojciec był polskim szlachcicem, mój mąż – muzykiem, kosmopolitą i liberałem, a ja uchodziłam za komunistkę. Tymczasem „prawdziwi” komuniści z Rosji właśnie nasłali na nas czołgi. I pewnie mieli jasno sprecyzowane plany co do „polskich panów”. W kim niby powinnam pokładać nadzieję?

Z rezygnacją osunęłam się na chodnik. Siedziałam tak przez długą chwilę, a obok mnie wciąż ktoś przechodził. Słyszałam rozmowy podobnej treści. Wszyscy byli zdezorientowani. Ktoś mówił, że „Ruscy” przytwardzili do czołgów białe chorągiewki, że to wcale nie agresja. Inny ktoś, że zrzucają ulotki z samolotów, by przekonywać ludność do przechodzenia na stronę Armii Czerwonej. Czyli co? Wojna czy nie? Chciało mi się płakać. Kiedy wsiadałam z powrotem na rower, usłyszałam jeszcze jeden komentarz. Jakiś mężczyzna mówił, że teraz już wreszcie skończą się rządy burżuazji i nastanie nowy porządek. Trawiłam te słowa przez całą drogę do domu. „Skończą się rządy burżuazji”... Czy powinnam się z tego cieszyć?

Po powrocie do Rubiszek zastałam wszystkich domowników cisnących się przy radioodbiorniku. Przystanąłam w progu. Warstwa pracująca. Krawcowe, ślusarze, stolarze, kucharki, sprzątaczkę, przyszłe sekretarki. Razem około trzydziestu osób. Dlaczego się nie cieszyli? Przecież oto miały się skończyć rządy burżuazji. Nic dla mnie w tym obrazie nie było jasne. Spojrzałam na Tadeusza, który siedział przy oknie i w zamyśleniu obracał w dłoniach swoją ukochaną srebrną piersiówkę. Miał łzy w oczach.

Zupełnie zdezorientowana i roztrzęsiona poszłam do kuchni. Miałam zamiar spalić w piecu list od wuja Heinricha. W ostatnim momencie zmieniłam zdanie i ukryłam go w starej spizarcie. To również uratowało mi później życie.

* * *

Następny dzień okazał się jeszcze dziwniejszy. W południe osiemnastego września przez megafony ogłoszono sensacyjną wiadomość. W Niemczech wybuchła rewolucja, Hitler popełnił samobójstwo, przerwano działania wojenne. Niemcy i Sowietci wycofują z Polski swoje wojska... Nie wiedzieliśmy, co myśleć. Cieszyć się czy nie dawać wiary? Nabraliśmy jednak pewności, że to prawda, kiedy komunikat ten potwierdził ksiądz podczas kazania, które wygłosił na wieczornym nabożeństwie w Ostrej Bramie. Co się działo w mieście! Na ulice wyległy tłumy, wszyscy wiwatowali na cześć armii polskiej i Naczelnego Wodza. Redaktorzy prasowi zabrali się do pracy, by przygotować dodatek specjalny. Zapanowała radość nie do opisania, ludzie spacerowali po oświetlonych ulicach do późnych godzin wieczornych, nie było końca rozmowom.

Również znalazłam się w tym tłumie. Spacerowałam z Tadeuszem pod rękę, a mój mąż wydawał się taki szczęśliwy, że mnie również udzielił się podniosły nastrój. Ale w pewnym momencie wydarzyło się coś, czego nikt z nas się nie spodziewał. Od strony Zarzecza i Rossy usłyszeliśmy odgłos wystrzałów i chrzęst gąsienic, a na ulicach Wilna pojawiły się sowieckie czołgi. Co się stało z ogólnym entuzjazmem? Gdzie podziła się euforia? Wśród ludzi zapanowała rozpacz. Tym straszniejsza, że ściśle związana z głęboko przeżyтым rozczarowaniem. Kto postąpił z nami

tak okrutnie? Nie wiedzieliśmy. Później pojawiły się oczywiście różne uzasadnienia tego zajścia. Rozgłośnię radiową mieli ponoć opanować czerwoarmiści, by wziąć miasto z zaskoczenia i zastać mieszkańców nieprzygotowanymi. Inna teoria głosiła, że komunikat nadał dowódca Obszaru Warownego Wilno, by odwrócić uwagę ludności od wymykających się do lasu resztek wojska. A może chodziło o to, by zapobiec rabunkom? Wtedy tego nie wiedzieliśmy. Pewne było tylko to, że Wilno znalazło się pod okupacją sowiecką.

Widziałam wojsko... Tadek ciągnął mnie do domu, mówił, że trzeba się zastanowić, co teraz, i odpowiednio przygotować. Przygotować? Nie miałam pojęcia, jak on to sobie wyobrażał. Na co przygotować? Na powitanie Rosjan czy na walkę z nimi? Oczywiście większość chciała walczyć. Młodzież ostrzeliwała czołgi, dzieciaki nosiły amunicję i przekazywały informacje, u wylotu Połockiej stało działo przeciwpancerne, broniono Zielonego Mostu. Pociski szły także od strony cmentarza Rossa, a w okolicy Ostrobramskiej działała bateria przeciwlotnicza. Wilno się broniło, choć możliwości miało słabe. Na Ostrobramskiej walczono nawet wręcz przy użyciu granatów. Ostrzeliwano żołnierzy sowieckich, którzy przekraczali most Zwierzyniecki. Walki toczyły się przez całą noc, w wielu punktach miasta. Ale nie wszyscy stawiali opór. Byli też tacy, którzy Sowietów witali z otwartymi ramionami. Wielu Żydów wiązało sobie czerwone opaski na ramionach, a Stefan Jędrychowski zorganizował komitet powitalny złożony z kilkudziesięciu członków. Była brama triumfalna, czerwone płachty i transparenty... Jędrychowski stał się później prawą ręką sowieckiego komisarza oświaty.

A ja? Gdzie ja byłam w tym wszystkim? Po stronie tych, którzy ostrzeliwali czołgi agresora, czy tych, którzy pod bramą triumfalną witali wybawców? Ja... nie wiedziałam. Siedziałam cicho i patrzyłam. I tak – widziałam to wojsko, armię oberwańców z karabinami na sznurkach, z brudnymi torbami, w podartych szynelach, zmęczonych. Śpiewali. Chyba *Katiuszę*. To mieli być wybawcy? To miał być agresor? Jak miałam na nich patrzeć? Jak siebie wobec nich ulokować? Nie podobała mi się „pańska Polska”, ale przecież nie chciałam wojny. Nie chciałam, by zmiany następowały w taki sposób. Nie chciałam niczyjej śmierci ani krzywdy. Miałam te swoje głupie ideały. I wtedy właśnie zobaczyłam, jak wciela się je w życie. W mieście wprowadzono kartki, przydział na chleb. Na chleb! Na twardą, suchą podeszwę, chrzęszczącą przy każdym kęsie, niedopieczoną i ohydną, za którą wystawało się pod piekarnią już od piątej rano, bo później nie było nawet tego. Ludzie zaczęli głodować. Zapotrzebowanie było fatalne, sklepy świeciły pustkami, szybko zabrakło podstawowych produktów, mąki, mięsa, soli i cukru. Nie było też czym palić, bo opustoszały składy węgla. Ludzie zużywali na opał własne płoty, a potem szli wycinać lasy. Błyskawicznie zniknął las na Sołtaniszkach...

Na placu Katedralnym ustawiły się sowieckie tabory złożone z furmanek, a z zainstalowanych na ulicach megafonów nieustannie rozlegały się komunikaty o sukcesach robotniczo-chłopskiej Armii Czerwonej. W kioskach nie było już prasy polskiej. Dwudziestego trzeciego września w moskiewskiej „Prawdzie” pojawiła się mapka z podziałem Polski według ustaleń zawartych w pakcie Ribbentrop-Mołotow.

Za bardzo jednak wybiegłam w przód. Wtedy, w dniu wkroczenia Rosjan do Wilna, zostaliśmy w mieście. Tadek

tłumaczył mi, że trzeba wracać do domu i pilnować dobytku, bo „ci oberwańcy” wszystko kradną. Bał się też o swoich rodziców, którzy mieszkali w sąsiednim dworze. W ogóle się bał. I ja bałam się o niego. Nie miałam pojęcia, jak sobie poradzi, taki delikatny i gładki, w trudnych, surowych warunkach. Wobec braku żywności, proszków na ból głowy i środków czystości. Musiałam się nim opiekować. To było moje postanowienie. Nie chciałam wojny i uważałam ją za barbarzyństwo, ale miałam niepożytą siłę. Wciąż jednak nie wiedziałam, co myśleć. Nie miałam pojęcia, kim byłam. Tamtej nocy Tadek zaprowadził mnie do mieszkania swojego przyjaciela, jakiegoś reżysera teatralnego z Warszawy, który uciekł z niej na początku września. W Wilnie wielu było wtedy uchodźców z tamtych stron. Myśleli, że zdołają uciec Niemcom, a wpadli z deszczu pod rynnę. Warszawski reżyser, Adam Sasaki, okazał nam wiele sympatii i widać było, że przyjaźnili się z moim mężem. Zostaliśmy u niego na noc. Do późnych godzin stałam przy oknie. Patrzyłam i słuchałam. Kuliłam się na odgłosy wystrzałów, ale szybko się na powrót prostowałam. Popadłam w dziwne odrętwienie. Myśli szalały w mojej głowie. „A jeśli oni rzeczywiście coś tu zmieniają?” – zadawałam sobie pytanie. Chyba naprawdę ciągle jeszcze wierzyłam, że Sowieci nie do końca są agresorami. Że może przyszli pomóc. Zaraz jednak wracało wspomnienie chrzęstu gaśienic i widoku czołgów. Rósł we mnie opór. Ale bardzo powoli.